Nr. 9 Krasny Staw, dnia 15-go czerwca 1925 r. Rok I.

SPRAWY KULTURALNO-OŚWIATOWE

Dodatek do „Ziemi Krasnostawskiej"

Organ Sekcji Oświaty Pozaszkol. przy Oddz. Z. P. N. S. P. w Krasnym Stawie

WYCHODZI DWA RAZY W MIESIĄCU.

Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił!

Adam Mickiewicz, Pieśń Filaretów.

Do źródeł wiekopomnej ustawy.

W 134 rocznicę Konstytucji 3 Maja.

Dziś z oddali 134 lat może się nam, myślącym demokratycznie, wydaje to zaparcie się rzeczą błahą i małą, a także i kryjąca się za niem miłość Ojczyzny niezbyt wielką. Bądźmy jednak sprawiedliwi i dajmy świadectwo prawdzie i cześć zasłudze! Chcąc zaś to uczynić, postawmy się w położeniu twórców Konstytucji i zdajmy sobie sprawę, że byli to ludzie, należący bez braku do warstwy narodu uprzywilejowanej, że do rezygnacji z posiadanych przywilejów nikt i nic z zewnątrz, jak we Francji, ich nie przymuszało, — a dla uwydatnienia ich wyższości przywołajmy sobie jeszcze na pamięć, jak to dzisiejsi obrońcy okopów św. Trójcy dopiero po długich a długich targach i pod większym jeszcze naciskiem potrosze ustępują swych praw—przywilejów.

I jest to psychologicznie całkiem zrozumiałe, nikt bowiem ze swych praw nie rezygnuje dobrowolnie.

A przecież zrobiła to ku chlubie całego narodu szlachta polska, która w Konstytucji Majowej sama, z własnej inicjatywy, a tylko patrząc otwartem okiem na niezagojoną wskutek pierwszego rozbioru ranę na ciele Ojczyzny i zdając sobie sprawę ze swej współwiny w tem nieszczęściu, przychodzi nałożyć na siebie wędzidła praw. Co prawda nie w całej ustawie utrzymuje się na tej wysokiej wyżynie wspaniałomyślności; w artykule jej IV: „O chłopach", w którym nadal jeszcze święci triumfy interes, egoizm klasowy i duch średniowieczno-stanowy, a który jest przykładem dziwnej ironji losu i bolesnego rozdźwięku między szumnem, choć może i szczerem słowem motywów a nikłem i wypaczonem ciałem czynu, wspaniałomyślność ta schodzi nawet do granic nicości,—mimo to jednak licząc się z psychologicznemi warunkami pierwszego kroku, jako pierwszy krok do poprawy, jako wyraz dobrej woli i chęci służenia sprawie ojczystej należy Konstytucję powitać z uznaniem i szacunkiem.

I dlatego jak na cześć Konarskiego, tak i na cześć twórców Konstytucji winienby był być wybity medal z rozszerzonym jednak napisem: Amare et sapere ausis.

Tak, **amare** et **sapere** (kochać i być mądrymi), bo miłość Ojczyzny jako motyw wewnętrzny Konstytucji Majowej nietylko była tu przedewszystkiem czynna, ale i pierwej, niż rozum i mądrość. Ona była kamieniem węgielnym Ustawy!

Lecz Konstytucja 3 Maja jest nietylko niepożytym monumentem miłości Ojczyzny, ale też chlubnem świadectwem, że w społeczeństwie naszem, zniepravionem i rozpasanem za obu Augustów, nie zanikł, a tylko przytaił się był głęboko honor i godność narodu. Nalot tego zniepravienia był gruby,—dość wspomnieć maksymę: Polska nierządem stoi—obojętność na sprawy narodowe i państwowe wprost bezprzykładna, skoro nawet wiwisekcja dokonana na ciele narodu nie zdołała z obojętności tej społeczeństwa wyprowadzić, apatji do czynu odpornego porwać.

Ale przyszło otrzeźwienie, a jako pierwszy jego wyraz przyszła jeszcze przed Konstytucją Majową uchwała w sprawie wystawienia stutysięcznej armji, uchwała mogąca uchodzić za pierwsze zaspokojenie obudzonych w duszach szlachty wyrzutów sumienia i za pierwszą próbę rehabilitacji. Potem przyszły inne samooskarżenia, a jako ekspiacja za zaniedbania — rewizja konstytucji państwowej na całej linji i zawarta w Ustawie Majowej reforma.

Chciał więc Polak przynajmniej po szkodzie być mądrym i istotnie zmądrzał i wyszlachetniał. Ale niestety, kiedy owa, bolesnem doświadczeniem zdobyta mądrość miała zacząć wydawać owoce, obca przemoc, czyhająca skwapliwie na sposobność do urzeczywistnienia dawno ułożonego planu całkowitego rozgrabienia ziem polskich, co rychlej poszła za głosem zwyrodniałych obrońców rzekomej wolności i rzuciła się z chciwością żarłocznego zwierza na odradzającą się i najlepsze nadzieje rokującą Polskę—po nowy żer, po nowy kawał żywego ciała!

Polskę ponownie rozszarpano, a pozostałą cząstkę, cień cienia, skazano na dalsze, acz niedługie już toczenie przez dawnego raka samowoli.

Nie było więc dane Konstytucji 3 Maja odegrać zbawiennej roli lekarki wobec współczesnych, ale też i nie jednodniówką być jej było pisane, jak sobie tego życzyli nasi wrogowie.

Bo wprawdzie upadło państwo, które wydało ją ze swego łona, ale nie przestał istnieć naród, choć był rozćwiartowany. Ten zaś przygarnął ją do piersi jako swe najukochańsze dziecię i przez cały ciąg niewoli wiernym pozostał tej ojcowskiej ku niej miłości.

I nic dziwnego. Miała bowiem Konstytucja 3 Maja dla narodu naszego wartość i świętość testamentu, w którym schodzące do otchłani niewoli państwo polskie wypowiadało ostatnią swą wolę, wolę życia niezłomną; była przecudnem a energicznem posłaniem przeszłości do przyszłości. Jako niezrównany wzór miłości Ojczyzny i rozumu i wyraz woli życia, stanowiła Konstytucja Majowa przedmiot naszej chluby i dumy narodowej, a jednocześnie była ostoją nadziei na rozdrożach naszego życia narodowego, wołając każdem swem słowem, że żyje i nie zginie Polska, że żyje i zginąć nie może naród, co nad przepaścią będąc takich cudów dokonać zdoła.

Budząc zaś nadzieję i wiarę w odrodzenie, była wiecznie żywą podnietą i hasłem do boju o wyzwolenie z pęt hańbiącej niewoli.

Jakoż słuchano tego mistycznego i jedynego w swoim rodzaju hasła i raz po raz zrywano się do walki o wolność.

Z tem hasłem w duszy chwycił za oręż Tadeusz Kościuszko, znosił poniewierkę na obcych lądach i morzach legjonista Henryka Dąbrowskiego, krwawił się za sprawę Napoleona żołnierz księcia Józefa, kładł się pokotem pod Olszyną i Ostrołęką powstaniec nocy listopadowej, ginął jak dziki zwierz od wrażej kuli kryjak r. 63 i znaczył krwawo szlak ku wolnej Polsce—najszczęśliwszy ze wszystkich szary strzelec Józefa Piłsudskiego.

Wszyscy oni nawiązywali i musieli nawiązywać do Konstytucji Majowej, będącej w swym zrębie mocnem: nil desperandum i sursum corda: — precz z rozpaczą i w górę serca!

Tak było czasu niewoli. A czemże Konstytucja Majowa jest dla nas dziś, kiedy rozjaśniło się polskie niebo, kiedy zamiast chmur lśni na niem odzyskanej wolności przecudne słońce?

Dziś, nie przestając być niezrównanym testamentem ginącej Polski szlacheckiej, wspaniałym wzorem mądrości politycznej i patrjotyzmu, oraz przedmiotem dumy i chluby narodowej, jest Konstytucja 3 Maja, oceniana ze stanowiska obywatela odrodzonego Państwa Polskiego, czemś więcej, albowiem arką przymierza między dawnemi i nowemi laty, między Polską szlachecką i Polską ludową, a zarazem złotym mostem, łączącym te dwie Polski ponad przepaść, ponad którą bez tego mostu, rzuconego przez instynkt narodowy, niepodobnaby przejść, jeśli się nawet przyjmie, że moglibyśmy byli w razie nieistnienia Konstytucji znaleźć się jakimś cudem po tej stronie, po stronie szczęśliwej owej przepaści.

Jakżeż się więc nie radować, ilekroć na horyzoncie czasu zjawi się rocznica owej wiekopomnej ustawy, jak nie triumfować z powodu rozumu i miłości Ojczyzny naszych pradziadów, jak nie wierzyć w niezniszczalność życia narodu, jak nie czerpać z Konstytucji Majowej otuchy na przyszłość i wiary, że niema tak trudnych terminów, z którychby naród nie wyszedł, jeżeli powie sobie twardo a po męsku, że chce i musi z nich wyjść.

Dusza Wschodu i Zachodu.

(Szkic [sprawozdawczy z odczytu, wygłoszonego w dniu 24-go marca 1925 roku przez Wacława Sieroszewskiego).

I znalazł tych wyznawców o miedzę ze swym krajem, w Chinach, gdzie dwaj ludzie: skłonny do metafizyki, Lao-tse i trzeźwy praktyk, Konfucjusz, zastosowali religję buddyjską do potrzeb swojego plemienia. Na powierzchni utrzymał się Konfucjusz, który jako naczelny dogmat postawił, zamiast miłości głoszonej przez Buddę, dogmat posłuszeństwa. Opierając się na nim, uczeni chińscy, a zarazem kapłani, mandaryni, zbudowali swą potęgę, a jednocześnie stworzyli cywilizację chińską, wyprzedzającą w swoim czasie o wiele cywilizację europejską. — Zapatrzony w idee Konfucjusza Chińczyk nie rozumował, nie myślał, gdyż tego nie potrzebował: robili to za niego mandaryni i przełożeni z cesarzem na czele. Oczywiście cesarz wykonywa wolę boga, Buddy.

Jak powiedziano, była to dla Chińczyków jako całości religja jedyna i zbawienna; bez niej nie zdołaliby oprzeć się żywiołom natury i najdzikszego w świecie kraju zmienić w kwitnący ogród. Bez niej uprawne dziś pola stanowiłyby błotniste dno nieprzejrzanych jezior, bez niej byłby nie do pomyślenia gigantyczny czyn, znany pod nazwą chińskiego muru, szerokiego na siedem i pół, a wysokiego na jedenaście metrów, wobec którego podziwiane piramidy egipskie są najzwyczajniejszą dziecinną zabawką.

Współdziałanie względem równych i posłuszeństwo względem wyższych, a przez nich najwyższej woli cesarza, posłuszeństwo ślepe,—oto najistotniejsze cechy duszy chińskiej.

Kto chce ujrzeć tę duszę w całej jej nagości, niech wstąpi na mostek kapitański okrętu, sunącego po cichych toniach rzeki Ho-ang-ho, niech się rozejrzy po okolicy, zamienionej dzięki pracowitości Chińczyków w rozkoszny ogród, niech rzuci okiem na brzegi rzeki, jarzmiące ją, wysoko nad powierzchnią pól okolicznych się wznoszące, a ręką chińską usypane, niech przyjrzy się rozsianej po tych wałach straży, pilnującej, by smok—rzeka, nie wyrwała się z zakreślonych jej granic i niech pomyśli, że to wszystko mogło się stać tylko dzięki hierarchji, opartej na idei posłuszeństwa,—a duszę ową—jak ongi Sieroszewski —ujrzy i nabierze dla niej szczerego podziwu.

Jednak to, co było dobre na wczoraj, jest złe dla Chińczyków na dzisiaj; dzisiaj wymaga postępu, tymczasem Chiny tkwią całe w przeszłości, skostniały w niej, a stąd święci w nich triumfy przysłowiowe chińskie zacofanie.

Do zacofania przyczynił się w wielkiej mierze podbój Chin przez barbarzyńskich Mongołów, którzy wymordowawszy inteligencję chińską, podobnie, jak dzisiaj bolszewicy w Rosji, sami nie zdołali jej wytworzyć, a wskutek tego i pójść dalej wytkniętemi przez rasę chińską torami.

Na tych samych zasadach, co cywilizacja chińska opierała się cywilizacja egipska, mająca swoje Ho-ang-ho w żyłowiowej rzece Nilu, a swój mur chiński w potwornych piramidach, grobowcach faraonów, reprezentujących, jak w Chinach cesarz, najwyższą, przez

Mimo najcięższe bowiem ugnioty życia będzie się żyć, jeśli tylko naprawdę chce się żyć i dla życia tego zdolnym się jest, gdy trzeba, rzucić życie na stos, stos nietylko śmierci, ale codziennego, szarego, krwawego trudu.

Że umieliśmy dla życia życie na polu walki dawać, to wiadomo, — obyśmy jeszcze nauczyli się tego drugiego heroizmu, heroizmu życia dla Ojczyzny, heroizmu, polegającego na pracy dla Niej i z myślą o Niej, na wyzbywaniu się egoizmu, partyjnictwa i innych naszych tak dobrze nam znanych wad.

Oby!...

M—w.



O t. zw. „konserwatyzmie chłopskim"

UWAGI I REFLEKSJE.

Na podstawie studjów Doktora Feliksa Konecznego.

Piśmiennictwo XVIII wieku, oddalając się od życia, staje się również racjonalistycznem, to znaczy, że z formułek wywodzi swą treść, nie z życia. Były dwie formułki obok siebie, nawzajem się wyłączające. Jedna, że wszelkie dobro i piękno jest udziałem tylko tej nielicznej warstwy społeczeństwa, która posiadła wyższą kulturę, szkolną i materjalną, obok drugiej formułki, wyglądającej jakby na przedrzeźnienie tamtej, że cywilizacja jest matką wszego złego, a człowiek z natury jest właśnie dobry. Voltaire i Rousseau wyłączali się w teorji, ale życie praktyczne wsiąknęło w siebie teorję jednego i drugiego, obie jednakowo ze złym skutkiem. Ci, którzy nie posiadali rzekomo żadnej „cywilizacji", nie znali teorji Rousseau, dla nich pochlebnej; jęli się jej zato ci właśnie, do których przystawała doktryna Voltaire'a, i nastąpił szczególny łamany taniec, gdy ludzie z kulturą wyrafinowaną zaczęli się bawić w prostotę w imię „teorji natury". Chłop francuski jęczał pod takim nawałem podatków, że 1/7 część gruntów była wcale nieuprawna, bo nie warto było uprawiać; był zupełnie rzeczą swego feudalnego zwierzchnika i nie przypuszczano w nim zgoła nie tylko żadnych praw, ale nawet godności ludzkiej, a równocześnie w feudalnych salonach zaczynają się czułe deklamacyjki o tym samym chłopie.

Przez pewien czas przybierano to w formy greckie, wnet jednak wytworzył się w literaturze jakiś ogólno-europejski szablon pasterza-rolnika — słowem wiejskiego chłopa, o którym nikt nie zdołałby powiedzieć, do jakiego on należy narodu. Czy we francuskiej literaturze, czy w polskiej, wygląda ten chłop zupełnie jednako; krótko mówiąc, jest to chłop, który w rzeczywistości nigdzie i nigdy nie istniał. Wziąc sobie za model literacki chłopa z własnej wsi, to byłoby bardzo nieestetycznie, bo literatura szybowała po jakichś obłokach sztucznych ideałów. Dziwna rzecz, że ideał zaczął sprowadzać na ziemię ten właśnie kierunek literacki, który nie wahał się wcielić wiele rzeczy fantastycznych, a mianowicie romantyzm.

Kto chce studjować historję stosunków szlachty do chłopa, niechaj się wczyta w pamiętniki pięknych pań drugiej połowy XVIII wieku, a we wschodniej

---

mrowie ludzkie respektowaną bezwzględnie świadomą wolę.

Inne natomiast zasady kierowały życiem społeczeństw europejskich, naprzód zaś Greków i Rzymian, żyjących w innych zgoła warunkach, niż Indus, Chińczyk, czy Egipcjanin.

Wprawdzie i nad temi ludami wisi potężna pięść niewidzialnej Ananke-Mojra, czy Fatum, jednak widzialna dłoń przyrody nie jest tak miażdżąca, jak dłoń przyrody indyjskiej, czy chińskiej. Łatwiej ją było przychwycić, zniewolić, ujarzmić i do służby dla siebie zaprząc. Jakoż czynią to herosowie greccy i rzymscy. Panując nad siłami przyrody, pełni radości są starożytni Hellenowie, marzą o wolności i pożywają owoce wolności. Duch góruje nad materją, intelekt nad instynktem, beztroska swoboda nad niewolą.

Wykwita najpiękniejsza z cywilizacyj, cywilizacja grecka, a potem zasilona nowym, młodym pierwiastkiem siły i praktyczności, grecko-rzymska.

W mrokach jednak katakumb ginie radość, a w mrokach średniowiecza swoboda. Polot myśli wolnej kryje się na długo do głębin ducha. Nietolerancja święci triumfy; feudalizm niszczy ideę Chrystusową równości i braterstwa. Oswobadza ducha humanizm i reformacja, nie na tyle jednak, by mógł się czuć całkiem wolnym, w lotach swych nieskrępowanym. Wieki on jeszcze musi walczyć o swe prawa z despotyzmem. Dopiero w Ameryce, ściślej mówiąc, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, rozpościera całe skrzydła do lotu. Nikt go nie krępuje i nie ujarzmia, niema tam despotów, chyba jeden: natura. Ale z tą da on sobie radę, od tego ma myśl rozum, przemysł. Więc wysila się cały w tym kierunku, w kierunku walki z przyrodą. I zwalcza ją, jak nigdzie na świecie, tak, że nie on jej, ale ona jego powolną jest służką.

Jakoż nie mogło stać się inaczej tam, gdzie wszystkie siły i władze ducha wytężyły się w tym jednym kierunku, by opanować na swe usługi ślepe siły przyrody. Nie obyło się to jednak bez pewnych szkód dla ducha, dla uczucia i idealizmu. Amerykanin nie zna tych rzeczy, nie wie, co znaczy sentyment dla przyrody, co miłość dla ziemi, co cześć dla przeszłości, z którą dawno, bardzo dawno zerwał, opuszczając kraj rodzinny. Dla Amerykanina rola—to taki a taki skład geologiczny gleby, to tyle a tyle kwintalów zboża, czy tyle a tyle kg cukru z trzciny cukrowej. I dlatego nieraz kilkakroć mniej otrzymuje z farmy, tak „wziętej na papier", niż nasz chłop—kolonista, który do sztucznych nawozów i obliczeń dodaje jedną rzecz niewymierną i z tamtemi niewspółmierną, chciałoby się rzec pod wpływem „Chłopów", Borynowa miłość ziemi.

Prawdziwy Amerykanin jej nie zna, jak wspomniano, jak wogóle nie zna uczuciowości, a stąd choć brodzi w złocie, nie czuje się często zadowolodym, spleen go opada, nudzi się. I nic dziwnego, duch ludzki musi mieć coś, co kocha, do czego tęskni.

Tego zaś mu brak i do tego nie ma on zmysłu, gdyż cała jego dusza zaprzątnięta jest jedną myślą, myślą praktycznego wyzyskania sił przyrody, jest — żeby tak rzec — skupiona w jednym zmyśle, zmyśle praktycznści.

Europie, aż mniej więcej do r. 1820, niech się przyjrzy szeregowi tak zwanych „Arkadyj“, urządzonych olbrzymim kosztem i nakładem pracy po przeróżnych kątach Europy, między innemi i u nas także kosztem księżnej Michałowej z Ogińskich Radziwiłłowej, ostatniej wojewodziny wileńskiej. Zachwycano się wieśniakami abstrakcyjnie, brzydząc się istniejącymi w rzeczywistości. Taki nienaturalny stosunek myśli ludzkiej do ludzkiego czynu jest czemś potwornem i musiały być tego słuszne następstwa. Możliwość wielkiej rewolucji tłumaczy się w znacznej mierze tem mózgowem bałamuctwem.

Wtargnął więc i do naszej literatury wieśniak kosmopolityczny, stylizowany, grzeczny, umyty, uczesany, pełen cnót, jak gdyby wcielenie pierwszych wierszy Metamorfoz Owidjusza. Przyznać jednakże trzeba wiele zasług pokoleniu z drugiej połowy rządów Stanisława Augusta, że jęło się życia naprawdę praktycznego, że w mnóstwie wybitnych osób tego okresu znać to, co Hipolit Taine nazwałby „miłością rzeczywistości“, ukochaniem warsztatu życia. Czytali chętnie francuskie wygładzone historyjki, przepisywali je, tłumaczyli i naśladowali, ale nie przejmowali się tem zbytecznie. Szlachcic francuski nie mieszkał wśród swych poddanych, podczas gdy polski siedział wśród nich na roli; to też doszliśmy wnet nawet do tego, że poczęto włościan uwłaszczać.

Nie sposób oprzeć się myśli, że stosunki warstw społecznych w krótkim względnie czasie stałyby się były w Polsce zupełnie normalnemi, gdyby warunki krajowe, polityczne przez jedno jeszcze tylko pokolenie rozwijały się naturalnym trybem. To jednakże zostało wstrzymane. Rozwój musiałby trwać znacznie dłużej! Tem się tłumaczy, że jeszcze „Wiesław“ Brodzińskiego jest dziwną mieszaniną owego fikcyjnego wieśniaka kosmopolitycznego z pewnem zacięciem narodowem; on istotnie wcale nie jest krakowskim chłopem, jest tylko dowodem, że poczęła się rozbudzać ochota, ażeby odtworzyć polskiego chłopa. Miało jednak jeszcze sporo wody upłynąć, zanim to nastąpiło.

Zaczęło się od piosnek ludowych, które zapaleni wielbiciele gorliwie zbierali, nie szczędząc zdrowia i trudów, żeby tylko przyczynić się jakim tomikiem ludowych „pień“; rozpędził się za tem romantyzm, czerpiąc stąd rzeczywiście stosunkowo sporo natchnienia. Do dziś dnia przeważa w znawstwie ludu wzgląd artystyczny; polska sztuka odradza się pod ożywczem tchnieniem ludowego zdobnictwa; nakształt chat zakopiańskich powstają wille, podczas gdy bardzo niewiele jeszcze znamy poglądów społecznych chłopa... Wobec tego nie dziwmy się, że o ludzie wiejskim panują powszechnie rozmaite przestarzałe pojęcia, z rzeczywistością często niezgodne.

Z początkiem XIX wieku dlatego tak nagle rozkochano się w chłopie, że duszę jego uważano za „tabula rasa“, na której można pisać, co się komu żywnie podoba. Ponieważ czasy te obfitowały w przeróżnych reformatorów, z których żaden nie byłby zdołał urządzić porządnie jednej gminy, ale każdy reformował sobie odrazu „ludzkość całą“, więc potrzeba im było mieć właśnie jakieś pole do eksperymentów. Takiem polem wydał im się właśnie „kmiotek“, jako niezepsuty cywilizacją, nie posiadający wykształcenia, nie wiedzący nic o bożym świecie, słowem materjałem zupełnie jeszcze wedle ich zdania, nieokreślonym i podatnym, dającym się urobić według życzenia reformatorów. Długo to trwało, zanim się

Przed tym zmysłem nie ostoi się nic, widać go w Ameryce wszędzie i we wszystkiem, nawet tam, gdzie niepozbawiony sentymentów dla pięknej i żywiołowej przyrody Europejczyk najmniejby się go spodziewał. Któż bowiem z nas, zakochanych w pięknych widokach natury, wpadłby na prozaiczny pomysł niszczenia czaru owej, przez najznakomitsze pióra opisywanej Niagary, owego grającego tysiącem barw motylich wodospadu, sławnego jako jeden z nielicznych cudów świata,—zapomocą prozaicznych urządzeń technicznych, mających odprowadzać część żywiołu wodnego do turbin w celu wytwarzania prądu elektrycznego. A jednak praktyczny Amerykanin nie wahał się tego uczynić ku zgorszeniu sentymentalnych Europejczyków, co więcej, ma odwagę marzyć o zaprzężeniu całej siły wodnej wodospadu do wykonania wyżej wspomnianej pracy i rozkoszuje się na myśl, że prądem elektryczności, w ten sposób otrzymanej, oświetliłby całe Stany Zjednoczone, uruchomiłby rozliczne koleje, fabryki i warsztaty, ułatwiłby i uprościł uprawę nieprzejrzanych połaci pól, — słowem zastąpiłby energją żywiołu energję człowieka, który dzięki temu mógłby poświęcany dziś czas na pracę obrócić na przyjemności, wypoczynek, kształcenie się, sporty i t. p.

Nie ulega wątpliwości, że ten tkwiący na dnie pomysłu humanitaryzm jest wielce przekonywający i słuszny ze stanowiska rozsądku, niemniej jednak ma on w sobie coś, co nas, „niepoprawnych romantyków“, razi i czyni nam owych praktycznych Amerykanów obcymi. Słuchając mądrych wywodów amerykańskiego bissnesmana, podziwiamy jego praktyczność, równocześnie jednak konstatujemy, że dusza jego jest ulepiona z innego, niż nasze, tworzywa. Czujemy razem z Sieroszewskim, że dusze nasze są niewspółmierne, choć dusza owego Amerykanina to także dusza polska, tylko przeprowadzona przez filtr amerykańskiej praktyczności,—czujemy więcej, mianowicie, że owe rury, odprowadzające wody Niagary do turbin, to symbol duszy amerykańskiej. Te rury wysterkające z pian i rozprysków wodnych, mieniących się przecudną gamą tęczy, mówią nam więcej o duszy Ameryki, niż owe iście amerykańskie drapacze chmur, owe cudne o niebywałej rozpiętości mosty, owe wiszące koleje i inne „największości“, które są przedmiotem ambicji i chluby Ameryki; one pozwalają nam wejrzeć w samą głąb duszy Nowego Świata, ujrzeć tę duszę w całej potędze, pełni i nagości, ale też i—jednostronności. Te rury w wodospadzie Niagary są dla nas czemś tak niespodziewanem, że choć dowiadujemy się o nich ze słów Sieroszewskiego, niemniej jednak razem z nim przeżywamy rozczarowanie, jakie go ogarnęło, kiedy je spostrzegł nieoczekiwanie wśród opalowych mgieł wodospadu.

Po tem rozczarowaniu, które jest jednocześnie przejrzeniem do najgłębszych tajników duszy amerykańskiej, będącej ostatniem słowem wolnej i zdobywczej duszy Zachodu, nie może być niespodzianką żaden przejaw tej duszy, choćby jak odbiegający od praktyki Starego Kraju. A jest tam takich przejawów niemało. Ot weźmy sposób uprawy ogromnych, na dziesiątki mil ciągnących się plantacyj zboża, tytoniu, czy czego innego. Gdy się przez te plantacje przejeżdża poza okresem robót polnych, zachodzi się

spostrzeżono, że chłop ma swój świat, tylko inny.

Dziś, dzięki kapitalnym pracom niektórych socjologów*), bliżej jesteśmy już odkrycia, że istnieje osobna cywilizacja chłopska.

Rzekoma „tabula rasa“ nie chciała się jednak dać zapisać.

Czasem na chwilę dał się wieśniak unieść, ale po krótkim wybuchu wracał znów do tego samego toku pojęć, do którego przywykł z dziada, pradziada. Ta oporność względem eksperymentów zwróciła uwagę doktrynerów. Spostrzeżono się, iż jednak chłopska głowa nie jest zupełnie pusta, i coś w niej siedzi, ale coś takiego, co im zawadza. Znaleziono na to bardzo prędko formułkę, i w całej Europie wierzy się do dziś dnia niewzruszenie, że wieśniak (le paysan) jest z zawodu niejako wcieleniem konserwatyzmu w literalnem znaczeniu tego wyrazu, czyli, że jest zabobonnie przywiązany do kształtów minionych, że wiekami całemi z natury swej obstaje przy jednem. Przyjęto to jako pewnik, tak, jak gdyby jedno z owych wstępnych twierdzeń ogólnych w matematyce. A tymczasem jest to tylko zabobonem, wyznawanym przez inteligencję.

Nietylko wieśniak ma zabobony, jest ich pomiędzy inteligencją sporo. Nie mam na myśli rozmaitych zabobonów w zwykłem znaczeniu tego wyrazu. Ileż ich grasuje w naszych pojęciach politycznych, społecznych, a nawet naukowych! Do takich należy owo mniemanie, że cała kultura chłopa pochodzi z jakiegoś prawieku, i że od czasu króla Ćwieczka nic się w niej nie zmieniło. Odmawia się wieśniakowi pochodu historycznego. Czas już włożyć ten zabobon między bajki.

Wszystko, cokolwiek ludu angielskiego się tyczy, co w nim, na nim i koło niego spostrzegamy, jest również wynikiem długiej ewolucji, jak wśród wyższych i niższych warstw narodu.

(C. d. n.)

G.

---

*) Mam tu na myśli dzieła ś. p. Erazma Majewskiego (umarł w r. 1922) prof. uniwersytetu Warszawskiego. Wielki ten przyrodnik kopał tak w tradycjach żywych ludu, jak w ziemi. Wertował całą literatuję ludoznawczą i systematyzował pojęcia ludu o przyrodzie, wiążąc je z pradawnem życiem mitu religijnego. Opracował tak wątki duchowego współżycia ludu z bocianem, chmielem i t. p.

Ów arystotelesowej miary myśliciel uważał za swego mistrza w zakresie etnologji ś. p. Karłowicza, redaktora etnograficznej „Wisły“.

Lecieć i nie dać się mijać.

Dlaczego, choć świat cały budzi się do życia, dusza człowieka jest smutna? Dlaczego nie można cieszyć się zwykłem codziennem szczęściem? Tyle bogactwa rzuciła przyroda pod nogi człowiekowi, a on tęskni i wyciąga ręce i pragnie iść bez końca w dal. Myśl wiedzie go gdzieś pod nieba błękity. Chciałby lecieć w przestwór, bo między ludźmi mu ciasno. Każdy krok jego śledzony, każdy czyn skrępowany, a każda myśl jaśniejsza, wyśmiana. Lecz duch skrzydlaty wzbija się i pędzi z gwałtownością w górę. Pędzi ku słońcu. Staje się mocarzem i panem wszechświata. Nie patrzy, że tam u dołu tysiące wyiskrzonych oczu strzela błyskawicami gniewu. On poważył się złamać nakaz praw świata i wzleciał ponad jego skorupę.

Z dołu słychać echo oburzenia i świst i śmiech. A sternik niepomny na nic, wzlatuje i sypie grad

---

w głowę, gdzie mieszkają ci ludzie, których rękoma zostały one zamienione w pola, kędzierzawiące się runią zbóż, czy połyskujące falami kłosów. Zagadka wyjaśnia się, gdy się tę samą drogą, oczywiście w amerykańskiej błyskawicy-pociągu, odbędzie w okresie robót wiosennych i żniwa. Wówczas widzi się, jak na dziesiątkach automobili zjeżdżają kolumny robotnicze ze wszystkiemi narzędziami, jak rozbijają namioty dla siebie, jak orzą i sieją względnie żną zboże, młócą, sypią w wory i zaraz automobilami wiozą do kolei, które rozwożą je dalej, do młynów i w świat. Po ukończeniu tych robót znowu rozsiada się na bezmiernych rozłogach pustka i melancholja jesienna lub zaczyna rozsiewać swe czary zmienna, jak kapryśna dziewczyna, a powabna, jak tylko ona, — wiosna.

Ta sama dorywczość, zmienność, tymczasowość przebija się i w innych dziedzinach życia, nawet tych, które u nas okazują skłonność do nieruchomości. I tak zbudować u nak dom, to znaczy tyle, co dziesiątki czy setki metrów sześciennych kamienia, cegieł i innego materjału zakląć w pewien stały kształt, który zasadniczo ma istnieć niezmienny, aż go zgryzie ząb czasu. W Ameryce ma się rzecz inaczej; tam dziś budują, jutro zaś, niech tylko zaświta inna myśl w głowie, niech się budowa okaże niepraktyczną lub plac, na którym ona stoi, potrzebny na co innego,—już jej niema, już ją rozłożyli znowu na części, z których powstała. Tak samo jest z maszyną. Pojawi się nowy projekt, jakieś ulepszenie maszyny, Amerykanin nie przemyśliwa długo, czy projekt ten zrealizować, ale go realizuje, zgóry przygotowany na to, że jeśli praktyka zada kłam teorji, to maszyna ustąpi miejsca innej, lepszej.

Jak więc widzimy, niema w Ameryce tego przywiązywania się do rzeczy, co u nas, niema tam tego, co my nasywamy uczuciową wartością rzeczy, dla której nawet bezwartościowy szpargał przechowujemy latami. Jest za to zimna trzeźwość, jest pęd ku nowości i udoskonaleniu i dzięki temu panuje tam tak niebywały postęp na każdym kroku, na polu zaś techniki głównie i przedewszystkiem.

Ujarzmienie przyrody tak, by była posłuszną na każde skinienie niewolnicą człowieka, ujarzmienie siebie w dziedzinie uczuciowości, pełna swoboda ducha, szczęście i dosyt materjalny, oto cele, do których dąży każdy Amerykanin i które osiąga, wytężywszy w tym kierunku wszystkie władze swego intelektu i woli. Amerykanin, człowiek Zachodu, to człowiek wolny, pan stworzenia—Azjata, człowiek Wschodu, to niewolnik, niewolnik swych wierzeń, ludzi i przyrody.

Gdzież wśród tych dwu typów ludzkości miejsce nasze? Odpowiedź na to jest jedna i jedyna, mianowicie, że miejsce nasze w sferze ducha tam samo jest, gdzie bieg dziejów wyznaczył nam w sferze materji t. j. w środku.

Wszystko za tem przemawia, przedewszystkiem zaś nasz charakter narodowy, którego wybitną cechą, jedną z najistotniejszych, jest amerykańskiemu podobne zamiłowanie swobody i wolności, a dalej nasza psychika plemienna, odznaczająca się z jednej strony żywą uczuciowością i fantazją, elementami, łączącemi nas ze Wschodem, z drugiej nie mniej żywą inteligencją, zdolną do rozwiązywania zagadnień

białych kwiatów uczucia na gorące, rozpalone nienawiścią czoła. Płynie i tam u góry śpiewa pieśń dziękczynną, że silnym jest. Śpiewa hymn miłości i śle go tam, do tych biednych, zaślepionych, których pióra nużają się w błocie. I stara się wierzyć, że każdy z nich ma skrzydła i każdy powinien rozwinąć je do lotu. „W każdym się duch poniewiera“ poniżony i zapomniany, a jednak tylko miłością można rozbudzić śpiącego, zakutego przesądami niewolnika, ale trzeba mieć duszę. Lecz na drodze człowieka z duszą, nie rosną same kwiaty. Pamiętać trzeba, że tylko po cierniach dojść można na szczyty.

Boją się ludzie zranić swe nogi, a nie boją się uwalać ich w kałuży. Nie widzą wokoło siebie nic innego, prócz siebie. Przechodzą nieraz przez życie całe z pogodną twarzą, zadowoleni i dobrze im jest, bo łaska wszechświata jest ciężarem duszy anielskiej i taka nigdy radosną nie będzie, dopiero wówczas, gdy znużone powieki zamknąć przyjdzie, a wrota naścieżaj otwarte zostaną do łask poznania.

St.

Kronika kulturalno-oświatowa powiatu.

(M—w.) Z życia kulturalnego Krasnego Stawu.

W myśl zasady: Lepiej późno, niż nigdy, postaram się pokrótce przebiec objawy życia kulturalnego naszego miasta, jakkolwiek o niektórych z nich, mianowicie tych, których świadkami byliśmy z początkiem maja*), ten i ów zdołał już całkiem zapomnieć.

Zacznę od obchodu 134 rocznicy Konstytucji 3 Maja, wybijającego się na pierwszy plan nietylko chronologicznie, ale i okazałością, większą niż lat poprzednich. Że tak było, zasługa to Miejskiego Komitetu Obchodowego, który zrobił wszystko, by ta doroczna uroczystość narodowa wypadła, jak przystało. Było zaś tak: W przeddzień rocznicy przybrano miasto (niestety tylko śródmieście) w flagi narodowe i (dziw powiedzieć) **czeskie**, tak czeskie, bo czeskie są barwy naprzód czerwona, a potem biała,—nadto zaś dywany i zieleń tu i ówdzie. Najpiękniej wystąpił Magistrat, którego pracownicy nie szczędzili trudu, by tak było, następnie zaś Gimnazjum Państwowe, Klub „Ogniwo“, Szkoła Handlowa i niektóre domy prywatne. Wspaniale też wyglądał sam plac 3 Maja, rzęsiście oświetlony lampami elektrycznemi, tak, że można było ulec przyjemnemu złudzeniu, iż jest się nie w Krasnym Stawie, ale w jakiemś pławiącem się świetle lamp dużem mieście.

Nic więc dziwnego, że spragnione światła tłumy snuły się do późnej nocy dookoła placu, wywabione stamtąd na chwilę o godzinie 9-ej, o której z placu przed kościołem wyruszył korowód wojska i straży w celu odegrania capstrzyku na ulicach miasta.

Program dnia następnego był następujący: rano o godzinie 10-ej odprawiono w kościele parafjalnym

*) Kroniki, dotyczącej życia w maju, nie pomieszczono w zeszycie majowym z powodu braku miejsca i—czasu na napisanie.

życiowych z rozmachem i pomysłowością amerykańskiego Zachodu. Ze niema co do tego momentu przesady, świadczy o tem fakt, że Polak znakomicie się wywiązuje z zadania, jako robotnik w amerykańskich fabrykach, co przyznają wszyscy Amerykanie, szczególnie zaś zaszczytnie sławny fabrykant najlepszych w świecie automobili, Henryk Ford, który wręcz oświadczył, że tylko dzieki pomysłowości polskich robotników udało mu się uskutecznić swój epokowy wynalazek.

Jednak nie koniec argumentom, przemawiającym za daną wyżej odpowiedzią. Dalszym bowiem argumentem jest nasza tradycja dziejowa, nie posługująca się przemocą względem swych sąsiadów i nie znająca przemocy w dziedzinie przekonań zarówno politycznych, jako też religijnych,—nasza cywilizacja, stojąca na pograniczu Zachodu i Wschodu, nasze położenie geograficzne, przez bieg dziejów nam wyznaczone, w samym środku między dwoma światami, i nasza struktura państwowa, skupiająca różne narodowości, rasy, wyznania.

Uwzględniając to wszystko dumnym być można i należy, że taką mamy przed sobą misję dziejową, ale nie można poprzestać na samem tylko stwierdzeniu tej roli historycznej i zadowoleniu z tego powodu. Takie ustosunkowanie się do sprawy równałoby się jej zaprzepaszczeniu. By do tego nie dopuścić, co więcej, by wywiązać się należycie z obowiązku, włożonego na nasze barki przez zbieg wymienionych wyżej okoliczności, należy o tej misji ustawicznie pamiętać i dążyć do wytworzenia w państwie takich stosunków, by Polska stała się wzorem urządzania życia państwowego i społecznego dla innych narodów, oraz by ku sobie inne narody przyciągała, żadnego zaś z żyjących we wspólnocie państwowej nie odpychała.

Dążyć do takiego stanu rzeczy winno być wdzięcznem zadaniem wszystkich świadomych misji dziejowej Polaków.

* * *

Taki byłby mniej więcej tok myśli, które znakomity pisarz z niezwykłą żywością, barwnością i przenikliwością poruszył w swym trzygodzinnym wykładzie.

Zastrzegam się i powtarzam z naciskiem: mniej więcej, gdyż żywię bardzo poważne i uzasadnione powody, że pamięć w niejednem mię zawiodła, że wskutek tego w niejednem zapewne szczególe odbiegłem od właściwej myśli szanownego prelegenta. Nic dziwnego, wszak odczyt odbył się w dniu 24 marca r. b. ja zaś te słowa piszę w dniu 26 kwietnia. Jeśli więc już sam przedział czasu mógłby niejedno usprawiedliwić, to fakt, że był to odczyt w treść nadzwyczaj bogaty, a tem samem trudniejszy do zapamiętania, usprawiedliwi mię chyba całkowicie w oczach tych, którzy dostrzegą w mym szkicu sprawozdawczym mylek i braków.

M—w.

Dnia 26.IV 1925.



nabożeństwo, po którem na podwórcu kościelnym wygłosił kazanie okolicznościowe ks. Andrzej Marusa, potem zaś odbyła się defilada wojska, policji, młodzieży szkolnej i organizacyj społecznych przed przedstawicielami władz miejscowych i wreszcie przemówienie z balkonu gmachu Magistratu, wygłoszoen w mocych słowach przez prof. Gimnazjum, p. Jana Bąka.

Na tem wyczerpał się program przedpołudnia. Po południu odbyła się na placu po Biurze Odbudowy zabawa ludowa z bardzo bogatym programem, z którego na wyróżnienie zasługują zawody sportowe, omówione szczegółowo w poprzednim numerze. Organizując zabawę, postąpił Komitet w myśl życzenia Prezydenta Państwa, jednocześnie trafił w samo sedno upodobań ludności, czego dowodem fakt, iż zabawa skończyła się o dobrym już zmroku.

Uroczystościom dnia nie było jeszcze jednak końca, ten bowiem stanowił dopiero korowód dziewic, zorganizowany pomysłowo przez grono nauczycielskie Szkoły Przemysłowo-Handlowej Żeńskiej, i popis chóru miejskiego, który umieszczony na balkonie Magistratu odśpiewał pod batutą p. Anusiewicza szereg pieśni okolicznościowych, wywołując powszechny o tyle jednak mniejszy, niżby z powodu tej sympatycznej nowości spodziewać się należało, poklask, o ile tu i ówdzie z powodu nieszczególnego rozmieszczenia śpiewających na wąskim balkonie wdzierały się do harmonji pewne niemiłe dysonanse.

Pomijając jednak te drobne i niezawinione niedociągnięcia, należy jeszcze raz stwierdzić, że tegoroczny obchód wypadł o wiele okazalej, niż zeszłoroczny, do czego w niemałej mierze przyczyniła się okoliczność przypadkowa, mianowicie to, że rocznica wypadła w niedzielę, wskutek czego lud, nie oceniający jeszcze doniosłości Konstytucji Majowej, pomimo swej woli wziął tłumny udział w obchodzie.

Inne objawy życia kulturalnego Krasnego Stawu nie miały charakteru odświętnego, a złożyły się na nie: wystawa kilimów, urządzona w salonach „Ogniwa“ przez Syndykat Kilimkarski we Lwowie w dniach w dniach od 2—5 maja włącznie, poranek recytacyjny artysty dramatycznego Kazimierza Wysockiego w Gimnazjum Państwowem w dniu 6 maja i odczyt o radjotelefonji inżyniera Topora-Zielińskiego w dniu 25 maja, ilustrowany audycją koncertów rozmaitych miast zachodnio-europejskich.

Na tem wyczerpują się najważniejsze objawy życia kulturalnego naszego miasta w maju. Niezbyt one obfite co prawda, trzeba jednak być zadowolonym i z tego, bo na takiej zapadłej prowincji, jak Krasny Staw, nie trudno o to, by było tych przejawów życia jeszcze mniej.

Czerwiec zaznaczył się kilkudniowym kursem straży pożarnych. poświęceniem sztandaru Szkoły Przemysłowo-Handlowej, Dniem Spółdzielczości, świętem sportowem, urządzonem przez Gimnazjum Państwowe i—zakończeniem roku szkolnego.

Poświęcenie sztandaru, nawiasem mówiąc bardzo ładnego, a wykonanego przez same uczennice, odbyło się w dniu 7 czerwca. Tegoż dnia przed południem święcono „Dzień Spółdzielczy“, którego koroną było poświęcenie nowozorganizowanej spółdzielni nauczycielskiej przy Oddziele Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych, która przy znanej energji swego kierownika, p. Pakuły, rokuje świetne nadzieje rozwoju. Wieczorem zaś odbył się w sali garnizonowej wobec bardzo nielicznego grona słuchaczy odczyt sekretarza Wydziału Powiatowego, p. Jana Olesiuka, na temat genezy, znaczenia i stanu u nas idei spółdzielczości. (Odczyt na ten sam temat wygłosił p. Olesiuk w dniu 13 czerwca dla młodzieży Gimnazjum Państwowego).

O wiele większe i wogóle największe ze wszystkich przejawów życia krasnostawskiego obudziło wspomniane wyżej „święto sportowe“, urządzone staraniem Gimnazjum Państwowego w dniu 11 czerwca na boisku szkolnem. Na program „święta“ złożyły się: ćwiczenia wolne, skok wdal, skok wzwyż, skok o tyczce, rzut dyskiem, rzut granatem i pchnięcie kulą. Zawody odbyły się przy bardzo licznem uczestnictwie publiczności, a ku zupełnemu jej zadowoleniu, o czem świadczy fakt, że pozostała ona na stanowisku mimo, że trwały od godziny 4 do 9 wieczorem.

Trzeba też przyznać, że udały się całkowicie, dowodząc, że życie sportowe w tut. Gimnazjum rozwija się i kwitnie nie gorzej, niż w innych zakładach naukowych w okolicy. Co więcej, niektóre wyniki były tego rodzaju, że nie trzebaby się ich wstydzić nawet w dużem mieście. Szczególnie odnosi się to do skoku o tyczce, w którym uczeń klasy VII (ówczas) Franciszek Jarocki zdobył pierwsze miejsce, skacząc na 2 m 65 cm., (drugie miejsce zdobył uczeń kl. IV Henryk Wołańczyk, skacząc 2 m. 60 cm.). Oni też obaj otrzymali nagrody.

Poza nimi zdobyli je za skok wdal (5 m. 30 cm.) ucz. kl. V Juljan Prokopowicz, za skok wzwyż (1 m. 47 cm.) wspomniany już Henryk Wołańczyk, za rzut dyskiem (26 m. 42 cm.) Juljan Prokopowicz, za rzut granatem (42 m. 35 cm.) Stanisław Orłowski i za pchnięcie kulą (9 m. 56 cm.) znowu Juljan Prokopowicz.

Na zakończenie wspomnieć też wypada, że w dniu 20 czerwca odbyło się w Gimnazjum Państwowem uroczyste zamknięcie roku szkolnego, w czasie którego dyrektor, p. Mieczysław Krukiewicz, po stosownem przemówieniu rozdał świadectwa dojrzałości. Otrzymali je ostatni z pamiętających jeszcze okupację austrjacką jako uczniowie tut. Gimnazjum maturzyści: Mieczysław Czapliński, Manswet Domański, Jerzy Krynicki, Edmund Kujawski, Jan i Kazimierz Laskowscy, Kazimierz Orłowski, Michał Pastuszak, Zygmunt Simbierowicz, Leon Stasek, Zygmunt Tomaszewski i Józef Wiśniewski.

Z żałobnej kroniki.

Dnia 13 czerwca r. b. zmarł w tutejszym szpitalu sejmikowym, ulegając ciężkiemu zapaleniu płuc, do którego przyłączyła wierna towarzyszka żywota nauczycielskiego: tuberkuloza, kierownik szkoły powszechnej w Krasnym Stawie, na Zastawiu, ś. p. Franciszek Warchoł.

Ś. p. Zmarły, urodzony w r. 1876 wśród pszenicznych rozłogów Sandomierszczyzny, kształcił się w seminarjum nauczycielskiem w Solcu nad Wisłą. Po uzyskaniu patentu w r. 1898, wszedł w jesieni tego roku na ciernistą i opoczystą drogę jednego z najponętniejszych i najpiękniejszych dla ideowca, a jednocześnie najbardziej zawodnych zawodów, zawodu nauczycielskiego. Droga ta zaczęła się dla Niego w Żółkiewce, w której pracuje do r. 1904, wiodła przez zabitą deskami Giełczew do Krasnego Stawu, do którego przeniosły Go władze szkolne rosyjskie w owym pamiętnym roku wielkiej wojny, a stąd przez Rosję znowu do Krasnego Stawu, już wolnego od dwugłowego potwora rosyjskiego.

Długa to była droga i nie łatwa, o ile chodzi

o tę jej część, która wiodła przez szkołę rosyjską, a jednak nie załamał się na niej duch Zmarłego, choć tak łatwo było o to „w służbie Moskwicina"; przeciwnie, pomny zawsze tego, że z pod polskiej wyszedł strzechy i że stać mu na straży polskiego ducha, odgrzebywał ś. p. Zmarły w przysypanych rosyjskim popiołem duszach dziatwy polskiej iskry tego ducha i rozniecał je pieczołowicie, nie bacząc na grożące ze strony najeźdzcy niebezpieczeństwa dla siebie. Za to z Żółkiewki poszedł na 10 lat do zapadłej Giełczwi, a stąd pod oko powiatowych władz do Krasnego Stawu, czasu zaś wojny został jako „niebłogonadjożny" wysiedlony do Rosji.

Mimo to ś. p. Warchoł zawsze był sobą, nawet tam, gdzie zdawało się, że będzie najtrudniej: na uchodźtwie. Jakoż wierny swym ideatom, rychło porzuca wyznaczoną placówkę w szkole rosyjskiej i zaciąga się pod sztandar pracy dla swoich, których rzesze wypędził kozacki bat z kraju ojczystego. Pracuje tedy wśród tych rzesz z ramienia Centralnego Komitetu Obywatelskiego w powiatach: bobrujskim, mozyrskim, czernichowskim i noworybkowskim, zdobywając sobie mir i uznanie wśród emigrantów i legjonistów Dowbora-Muśnickiego.

W r. 1918 wraca do wolnej Ojczyzny, której obraz zawsze stał mu przed oczyma, i obejmuje posadę w Krasnym Stawie, gdzie cichą a ofiarną pracą, karnością, taktem i gotowością do pracy zjednywa sobie uznanie przełożonych, a szacunek u kolegów.

Rychło też zasługa Jego znajduje należytą ocenę i nagrodę: w r. 1923 Oddział Związku P. N. S. P. wybiera go swym przewodniczącym, a równocześnie powierza zaszczytny, lecz wielce odpowiedzialny posterunek delegata do Rady Szkolnej Powiatowej, dodając do tego w r. 1924 godność skarbnika w świeżo zorganizowanej Sekcji Oświaty Pozaszkolnej.

Zawsze i wszędzie skromny, cichy, uprzejmy, uczynny i pracowity we wszystkich, którzy Go znali, miał szczerych przyjaciół, w nikim zaś nie miał wroga. Nic więc dziwnego, że śmierć Jego wywołała powszechny żal, ten zaś skupił około jego trumny nietylko rzesze dziatwy szkolnej, ale też tłum znajomych i bardzo spory zastęp kolegów, którzy, oddając ostatnią posługę swemu towarzyszowi doli i niedoli, zanieśli na swych barkach śmiertelne jego szczątki na miejsce wiecznego spoczynku, gdzie nad otwartą mogiłą w przepięknych słowach pożegnał Go w imieniu Rady Szkolnej Powiatowej wiceprezes jej, kanonik Antoni Zieliński z Gorzkowa, nadto zaś przemówił w imieniu nauczycielstwa kolega i przyjaciel, p. Mielnik z Mościsk.

Oby Mu ta ziemia polska, która Go teraz kryje w swem łonie, a którą przez całe swe życie wiernie kochał, była lekka, oby drzewa, rosnące nad Jego mogiłą, przynosiły Mu swym szumem z tej ziemi zawsze dobre, coraz to lepsze wieści! . . . *M—w.*

ŚPIEWAK.

Przyszedł na świat pod strzechą, kędy uśmiech dziecka
Jest tęczą malowaną na chmurnym błękicie,
Gdzie złoty kielich szczęścia, jak róża zdradziecka,
Ma ciernie, które ranią utajone skrycie.

Pieśń mu śpiewał skowronek wiszący pod niebem,
Gdy dziecię położone pod zieloną miedzą,
Nie płacząc, pomagało pracować nad chlebem
Rodzicom, co się w skwarze na zagonie biedzą.

Lata płyną, jak fale w szumiącym potoku,
Dziecię rośnie w pacholę—jagody ma krasne,
Głąb ciemna się rysuje na błękitnem oku,
Już myśli młode kwitną i marzenia własne.

Kromkę chleba i mleka w gliniany wziął dzbanek—
Kwiatulę o świtaniu na rosy wypędza.
Białą chmurkę na niebie zarumienił ranek.
Matula cosi bają, że będą mieć księdza.

W polu słuchał, jak zboża pozłociste gwarzą,
Jak ptaki zawisają w błękicie głębokim,
Jak kłosy wiatr kołysa, chciwie łowił okiem.
Do ziemi, jak do matki, przytulał się twarzą.

Gdzie snują się powoje, gdzie śni macierzanka,
Gdzie chabry się rozśmieją, tam biegał wśród zboża
I zrywał i zaplatał do barwnego wianka
I stroił Bożą Mękę wśród zbóż u rozdroża.

Śmierć się wlokła za szczęściem z piosenką żałosną;
Matulę pochowano za białym parkanem.
Na wiosnę białe lilje jak płaczki urosną
I rosy będą ronić nad cichym kurhanem.

Został z ojcem sierota. Pod strzechę stodoły,
Jak złodziej cicho nocą, wkradł się niedostatek,
Ojciec okrył, grosiwa wygrzebał ostatek,
Do miasta między ludzi pchnął syna do szkoły.

Tam podobno zeń drwili koledzy rówieśni,
Jak zwiędły liść jesienny, gdy siedział markotny,)*
Podobno się nauczył pod koniec snuć pieśni.
I ojca śmierć skosiła i został samotny.

Jeżeli kiedy przyjdzie i w moim ogródku,
Gdzie malwy złote rosną pod bieloną chatą,
Zaśpiewa szczerą pieśń mi bez skargi i smutku
To przyjmę go jak brata i ukocham za to.

Józef Grudziński.

Przebłyski.

Chwalca i pochlebca zwykle dobrymi są sąsiadami, często mieszkają pod jednym dachem, nierzadko w jednym pokoju, a czasem nawet w jednej osobie.

— — — — — —

Błogosławione jest zapomnienie, gdy pamięć byłaby przeklęta.

— — — — — —

Myślenie może stanowić największe nieszczęście dla człowieka.

— — — — — —

Zaczynasz się niecierpliwić w pracy, zacznij w tej chwili robić dokładnie i powoli, a przejdzie zniecierpliwienie i nerwowość.

— — — — — —

Gdy patrzysz przyczyny swego nieszczęścia, lub niepowodzenia, popatrz przedewszystkiem, czy nie tkwi ona w tobie, a potem dopiero szukaj jej poza sobą.

— — — — — —

U źródła wielkiego wynalazku jest zawsze genjusz, u jego ujścia zaś fabrykant i rachmistrz.

— — — — — —

Tani jest człowiek, który sam się nie ceni.

M—w.

*) Markotny w języku ludowym: smutny z powodu samotności.

Drukarnia Sejmikowa w Krasnymstawie. Redaktor: Mieczysław Krukiewicz.